Wychodzą we Lwowie we *Wtorek, Czwartek*, i *Sobotę*. Prenumerata rocznie **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie **1** Złr. **20** kr.
Bióro expedycyi w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po **4** kr. za następne po **2** kr.; w dodatku po **3** kr. za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

1. Maja 1856. **№ 52.** **Rok trzeci.**

Sejmik w lesie.

(Dokończenie)

— Ale przecie może by byli mogli znaleść jakie zajęcie, jakie utrzymanie?... wtrąciłem z nieśmiałością.

— Ba.. to, to właśnie najsmutniejsza strona dzisiejszego życia naszej biednej szlachty zagonowej. Bo to mój młody chłopcze, ty nie znałeś dawnego życia, i nie znasz tej zmiany, jaka potem zaszła w naszem społeczeństwie. Dawniej widzisz, nasze zaścianki, chociaż tam zagonów nie wiele było, starczyły na wyżywienie mieszkającej tam szlachty. I ta szlachta przyzwyczaiła się do takiego życia. Bo z tych zaścianków, jak było potrzeba, to sypały się roje całe i stawała szlachta do szeregów, gdy wypadła jaka potrzeba w rzeczypospolitej. A choć był spokój widzisz, choć któremu zagon nie starczył, to u wszystkiej szlachty było jakby w jednej rodzinie. I była to jedna rodzina, bo gdzie nie starczyło dokumentowe pokrewieństwo, to tam było powinowactwo jednego herbowego pochodzenia. I byli u nas panowie, magnaci, prawdziwe karmazyny, to też szlachcic poszedł do niego na dwór, pojechał z nim na Turka czy na sejm, i czegoś się nauczył, i czegoś się dosłużył, i jakoś żył na tym świecie; choć czasem głodno i chłodno, ale zawsze na własnym zagonie, jak na szlachcica przystało, nie wdając się w podłe handle lub inne rzemiosła, mieszczuchom i chłopom zostawione.

Tu stary zamilkł na chwilę i westchnął głęboko.

— Czasy zmieniły się, wyrzekł znowu, inny nastał świat, inny obyczaj. Nasze zagony przestały nam wystarczać, bo wszystko w świecie podrożało, a więc i porządek stał się droższy. Ludzie oczytani, edukowani jak to mówią, zrozumieli którędy wiatr powiał, i pociągnęli w tę stronę. Ale po zaściankach szlachta zagonowa została jak dawniej była. Edukacji nie było, bo edukacja także droga. Próżnowali jak dawniej w spokoju, a tu zagon nie starczył, i przyszła bieda, przyszła nędza. Cóż na to robić? pracować. Ta to prawda, i choć stary, to robię co mogę, ot ocet, jakby jaki mieszczuch fabrykuję i sprzedaję. Ale to trudno we wszystkich wmówić. Bo taki każdy to wie że szlachcic, i czuje że w nim inna jak w mudiu albo w mieszczuchu płynie krew. I jakże to szlachcicowi brać się do handlu, do rzemiosła. Przykro jakoś, źle to, źle... i przemieni się to z czasem, rozbiegnie się nasza szlachta po świecie za robotą, za rzemiosłem, za handlem, taj przepadnie... Ja tego nie dożyję, i lepiej, bo staremu żal tego, do czego od dziecka przywykł. Nasze zaścianki rozbiorą ludzie, nasze nazwiska, herby pójdą w zapomnienie!.. Stary świat nowemu ustąpić musi. Lecz ja nie dla tego mówię, abym chciał tłumaczyć czyn, którego sędzią byłeś, niech mnie bóg broni od tego, kradzież jest hańbiąca i pewnie więcej od handlu i rzemiosła! Ale mi zawsze ich żal, bo to przecie bracia nasi, a przykro gdy z własnego gniazda hańba na całą spada rodzinę. Ja ci to mówię, bo masz zostać księdzem; a jak nim zostaniesz, to nie zapominaj o rodzinnem gnieździe swojem; a jak zdybiesz którego z naszych zaściankowych braci, biednego lub zbłąkanego, to go nie odepchnij, ale mu pomóż modlitwą, radą, i pomocą!...

Tu stary zamilkł, i zasępione w dół spuścił oczy. W tej chwili zdało mi się słyszeć gwar jakiś od strony wsi. I stary snać usłyszał, bo podniósł głowę.

— To nasza szlachta z zaścianka, wyrzekł.

Lecz gwar nie ustawał, przeciwnie zbliżał się widocznie do futorku starego Krzywdzica. Jakoż wkrótce ozwały się głosy na dziedzińcu, stary kundys zaskowyczał. Krzywdzic wyszedł na spotkanie, i weszło ze sześciu zaściankowej szlachty. Byli to snać poważniejsi wiekiem i znaczeniem także.

— Przyszliśmy do was, ozwał się jeden, bo nie chcemy nic rozpoczynać bez waszej porady.

— Pan Kazimierz, dodał drugi, to jakby nas wszystkich ojciec.

— On nam dzieciom jeszcze dawał dobre rady, wtrącił drugi.

— Witam was, odrzekł stary, i dziękuję za wasze poczciwe o mnie myśli, lecz o cóż rzecz idzie?..

— Ta że o tego Józefa Lubasza, i o jego krewniaków Wołczka, Pyszniaka i Meleszkę.

— Oto widzicie, panie Kazimierzu, byłem ja i ot Godź na jarmarku w Samborze. Przyszło jakoś do zwady z chłopami z Uroża. Jak nie zbiegnie się hurma mudiów i nuż na nas wykrzykiwać: A to panowie szlachtycze z Krzywdzy, to złodzieje, a oni nam krowy kradną i woły, szlachtycze!! złodije! Palnąłem jednego i drugiego, ale nie było co robić, bo coraz więcej ich się zbiegało, więc wyrejterowałem się z jarmarku.

— A przeszłego tygodnia moja Jagusia krowy pasła od granicy Ihnatowskiej, a z tamtej strony pastuchy nuż się naigrawać z niej i wyrzucać jej, że to cała nasza wieś szlachtyczów to same rozbójniki i złodzieje.

— Panie Kazimierzu, radź co, wszak to ostatnia hańba na nas spada. A to wszystko z tego Lubasza Józefa i Pyszniaka i Meleszki. Oni to taką złą sławę na nas rzucili, chodzą światami i kradną. Burczymucha powiada iż był w

lesie, jakeście im tęgie powiedzieli kazanie i zgromili po szlachecku.

Dalej opowiedzieli panu Kazimierzowi, że już idą z karczmy, gdzie się kilkudziesięciu zgromadziło i zgodziło na to, aby tych co kradli bydło z Ignacym, wypędzić ze wsi.

— Wypędzić ich z pomiędzy nas!..

— I odebrać szlachectwo..

— Bo przecież czyn hańbiący sam przez się starym zwyczajem niszczył szlachectwo.

— My się ich wypieramy...

— I nic wspólnego z nimi mieć nie chcemy.

— Bo złodziej mi nie brat.

— Niechaj idą na cztery wiatry...

— Szukać gdzie indziej szubienicy.....

— Która ich nie minie.

Szlachta, wpadając w zapał, coraz głośniej krzyczała, wywijając rękami.

— Więc, ozwał się znowu mowca Jacenty, reasumując niejako wszystkie zdania, postanowiliśmy...

— Ale zawsze ułożyliśmy się, przyjść do was panie Krzywdzic po radę i wasze przyzwolenie.

— To się rozumie... Postanowiliśmy tedy tych czterech dawnych braci naszych, którzy taką hańbę popełnili, że ona i na nasze imię szlacheckie spaść może, wygonić z naszego towarzystwa, i to w ten sposób, aby żaden z nas z nimi nie gadał i nie przystawał.

— A jak ich zdybie, to niech się odwróci od nich.

— I ucieka jak od zapowietrzonych.

— Jak od dżumy!

— I z cerkwi wszyscy wyjdą, jak oni się tam pokażą.

— I z karczmy pójdą precz, aby z nimi nie być razem, choć by była najlepsza zabawa, dodał jeden z amfazą, dowodzącą, że wedle niego było to już *non plus ultra* kary i rzymskiej determinacji.

— Chciejcie więc panie Krzywdzic, powiedzieć nam wasze zdanie...

— Jako najstarszy między nami.

— I najuczciwszy...

— Ba, nawet oczytany w starych księgach.

Stary Krzywdzic słuchał mówiących z uwagą, a gdy skończyli, podniósł ku nim oczy, pełne wyrazu tęsknoty i jakiejś boleści, ale w głosie którym przemawiał odbijała się powaga i silne postanowienie.

— Przykry to jest wyrok, ale potrzebny... Wiem że musiały was boleć serca, gdyście takie wzięli postanowienie, ale przykład jest konieczny, teraz właśnie, kiedy nie jedno między nas wkrada się zepsucie. Oj nie jedno, moi bracia, nie jedno, co nam szlachcie starej może przynieść wstyd i hańbę... I rad temu jestem, że myśl takiego sądu od was wyszła młodszych, bo mnie staremu nie wypadało, i po prawdzie, stary ma zawsze smętne już serce. Surowy to sąd... ale zbawienny, bo dziś każdy się z nas obejrzy, czy sam nie grzeszy, i każdy sam siebie surowiej sądzić będzie.

— Więc przyzwalacie?

— Pod jednym jednakże warunkiem, który sami zapewne znajdziecie sprawiedliwym. Oto moja rada jest, aby jeden z was poszedł do nich zazaz jutro, i powiedział co zostało uradzone. Wszak i największemu grzesznikowi trzeba zostawić wolną do poprawy drogę? Jeżeli się cofną, przyznają że źle zrobili, oddadzą rzeźnikowi jego pieniądze, jeżeli im już dał, a głównie jeżeli dadzą słowo, że się poprawią, i nigdy już na takiej haniebnej drodze zarobku szukać nie będą...

— Niech przysięgną...

— Słowo szlacheckie przecież ich zwiąże, zagadł znowu stary.

— A tak, *verbum nobile*! dodał drugi.

— Nie przyzwyczajajmy się do tego, mówił Krzywdzic dalej, aby słowo szlacheckie nie miało już największego znaczenia.

— Tak! tak zrobimy.

— A jak dadzą słowo, zakończył staruszek, niezapominajmy że to nasi bracia, których nędza do takiego upodlenia przyprowadziła. Darujmy im szczerze, kochajmy jak braci, i... i o ile można pomagajmy radą, i czem możemy.

— Święte wasze słowa panie Krzywdzic.

— Jakby z ewanielii..

— Prawda, wielka prawda.

I wszyscy rozczulili się, uściskali starego Krzywdzica i po kilku jeszcze słowach zabierali się do wychodu. Lecz stary zatrzymał ich, mówiąc z uśmiechem:

— A to piękneście w gościnę przyszli, powiedział, i pogadawszy na sucho, już idziecie.

— To już późno.

— I tak spać już nie będziecie. Ot może krupniczku, ta i ja stary pokrzepię się.

— Chyba dla mgły nocnej.

— Jaki lekarz z pana Burczymuchy.

I stary wziął się co prędzej do dzieła. Wyjął miód i nową wódki flaszę, i zmieszawszy na wielkiej misce, zaczął palić krupniczek, ten zaścianków wszystkich ulubiony trunek.

Przy krupniczku szła wesoła rozmowa, przy której i na mnie mając już wzgląd, wszystka szlachta z wielką dla mnie była uprzejmością, i prawdziwie serdecznem wylaniem. Pod siermięgą, bez wychowania, ale serca najlepsze u naszej zaściankowej szlachty. A nawet gdy się druga misa krupniczku powtórzyła, zaczęli mnie namawiać, abym jako zdrożony, położył się na łożu z wonnego siana.

Nie mogłem oprzeć się prośbom i naleganiom, i po prawdzie chciałem sam uniknąć krupniku, który mi jakoś nadto bił do głowy. Położyłem się tedy na wonnem sianku, ale nie mógłem zasnąć. Bo i jakże tu zasnąć było, kiedy szlachta coraz weselsza, coraz żywiej gwarzy, i wesoła, rozpowiadając rozliczne zdarzenia, przechodzące coraz więcej w jakieś mgliste przypomnienia przeszłości, w których w dziwny sposób mieszała się prawda historyczna z najdziwaczniejszemi bajkami, duma szlachecka z prostaczą naiwnością.

Odżałować nie mogłem, że inne myśli, inne zdarzenia wybiły mi z głowy te wszystkie gadki szlacheckie, o których dzisiaj w naszem pokoleniu nikt najmniejszego niema wyobrażenia. A jeszcze więcej żałuję, że przypomnieć so-

bie nie mogę śpiewek, które przy większem rozweseleniu, w czasie trzeciej miski krupniku nastąpiły, w najbogatszym zbiorze pieśni pół ludowych, a pół szlacheckich, w których także odzywały się czasem lekkie przypomnienia dziejowe.

Przy rozmowie, śpiewie i krupniku przeszła noc bardzo prędko. Przy wschodzącej zorzy wyszli goście z domu starego Krzywdzica, naściskawszy mnie i nabłogosławiwszy serdecznie. I ja wstałem, aby w dalszą puścić się podróż. Śliczny był ranek, gdy wyszedłem szukać mego Iwasia. Iwaś był wesoły, bo sowicie najedzony, i konie wesoło parskały, bo Grzesio dał im obroku i siana mnóstwo.

Gdy już przyszło do wsiadania, postrzegłem że ledwie miejsce było do siedzenia, tak mnie poczciwy Krzywdzic obdarzył na drogę, i serem, i masłem, i chlebem, i suchą kiełbasą, i czem tylko mógł.

Wyprowadził mnie wreszcie staruszek aż do wioski wraz z kundysem i Grzesiem i starą gospodynią.

— Bądź zdrów i szczęśliwy, wyrzekł staruszek z przejmującą czułością. Już się pewnie nie zobaczym więcej.

Zakręciły mi się szczere łzy w oczach. Pocałowałem staruszka w rękę, a on mnie serdecznym w głowę pocałunkiem pobłogosławił na drogę.

— I pomódl się tam kiedy za duszę moją, dodał ciszej, gdy już konie ruszyły.

Za wrotami szła droga w dół. Jeszcze się raz obejrzałem, stary stał na dziedzińcu, a siwa głowa jego, opromieniona światłem wschodzącego słońca, wydała mi się, jakby głowa świętego.

Długo, bardzo długo zapomnieć nie mogłem tej całej sceny nocnej, która mocne zrobiła wrażenie na młodym umyśle moim, a wspomnienie starego Krzywdzica pozostało mi w sercu, pomiędzy najdroższemi pamiątkami.

Później od współucznia jednego dowiedziałem się, że stary Krzywdzic umarł, a owi towarzysze kradzieży wołów mimo próśb, rad i gróźb, już się poprawić nie chcieli i nie mogli, i zmęczeni wiernie dotrzymanym wyrokiem: wykluczenia ich ze społeczeństwa reszty szlachty zaściankowej, wyszli ze wsi, straciwszy resztę mienia swego, i przepadli bez wieści.

O zatopionej koronie.

(Z Uhlanda).

Stoi na szczycie pagórka,
Domek maleńki a schludny,
Widać z czystego podwórka,
W koło kraj żyzny a cudny;
Tam wolny chłopek na progu
Wieczorem sobie usiada,
I ostrzy kosę, i bogu
Pieśniami dzięki swe składa.

W dole murawa zielona,
Wiankiem staw ciemny oplata,
A leży w niem zatopiona
Korona pyszna, bogata;
Czasem z niej nocą uderzy,
Klejnotów blask nad fal tonią;
Od wieków sobie tak leży,
A nikt nie kusi się o nią.

A....

Pisarze dzisiejsi.

I.

Władysław Syrokomla.

(Dokończenie).

Potrzeba jeszcze do tej ironji życia, aby umierający na barłogu Acern błagał niewierną żonę o przebaczenie, że jej niemógł dać światowego blasku.

Niech sama przebaczy, niech szczęśliwą będzie!
Ja tam z wysokich niebios jeżli Bóg pozwoli,
Dopomogę modlitwą do jej lepszej doli,
Oddajcie jej ten pierścień z życzliwemi słowy:
Bo grób doczesnych ślubów zdejmuje okowy...

Wreszcie kończy się ta wielka tragedja:

.... Obecni przyklękneli bladzi.
I stał się cichy rozruch w klasztornej czeladzi,
Jezuita krzyż skreślił nad umarłą głową,
I *requiem aeternam* wyciągnął grobowo,
Zahuczał dzwon kościelny ile jęku stanie,
Głosząc po całej Polsce Acerna skonanie.

W «dospiewku» opowiada Syrokomla lakonicznie, że trumnę Acerna obito w aksamity, że ją nieśli z wielką pompą rajcy i ławniki najstarsze.

a potem na stypie,
Szlachta wino rozlewa, grosz ubogim sypie,
I hojnie łza wytryska oczami pianemi.
Krzyczą: *Vivat Acernus*, chluba naszej ziemi!

Kończy poemat zwrotem do współczesnych:

Od śmierci Acernowej trzeci wiek upływa,
A jeszcze pieśnią jego tchnie lechicka niwa,
Jeszcze jego nadgrobek marmurowy, stary,
Pokazują przychodniom u Lubelskiej fary,
Czcili go ludzie dawni, uczcijcie współcześni,
Męczennicy żywota, męczennicy pieśni!...

Ojcze, jeśli pragniesz przekonać twe dziecko,
Jak są wiersze i piosnki zabawką zdradziecką,
To przyprowadź go tutaj i opowiedz wiernie,
O żebraczym szpitalu i biednym Acernie,
A jeźli łzę postrzeżesz na oczach młodzieńca,
Jeźli ten wzór do piosnki jeszcze nie zniechęca,
Odżałuj twego syna, nieba go wybrały,
Do cierniowej korony i do palmy chwały!

Utwór ten Syrokomli pod względem polotu, siły poetyckiej i gładkości wiersza, stawiamy najwyżej, lubo postać biednego Acerna przestrasza nas potwornością cierpień i obrazem męczeństwa. Nie podnosi ona czytelnika, ale przygniata. Taki pokarm spożywa się łakomie, ale spożyty zostawia nam w ustach niesmak, a w sercu sprawia tęskne, usypiające rozstrojenie.

Chatka w lesie, *w dwóch częściach. Dziwactwo dramatyczne. Henryk,* młody literat–poeta, przechadza się po ogrodzie. Przystępuje do niego *Czcionka*, księgarz–edytor

i pyta się go o rękopisy, które chce nabyć. Poeta mówi że nic do druku nie pisze. *Czcionka* przypomina sobie, że na jego stole widział spory poszyt. «To mój pamiętnik, odpowiada Henryk:

Skupiam wrażenia życia, rozkosze i ciernie
Ręka drży mi gdy piszę, a maluję wiernie.....

Czcionka oblicza w duchu zyski z podobnej książki i napiera na literata. aby ten pamiętnik sprzedał. Ale poecie drogie są dzieje jego własnego serca; są tam łzy i rozkosze, i jest obraz tej, którą jego dusza pokochała. A tego wszystkiego nie chce sprzedać na zabawkę czytelnika, pod nóż krytykującej gawiedzi. Odpowiada więc księgarzowi stanowczo, że mu pamiętnika nie sprzeda. *Ustęp drugi.* Marja, córka bogatego Marszałka, kocha się w biednym literacie. Rozmarzona pierwszem uczuciem dziewczyna, wyznaje ubogiemu poecie, że z nim w każdym stanie szczęśliwą będzie, że bez niego niema dla niej szczęścia na ziemi. Niczego od niego nie pragnie jak *chatki w lesie.* Przy nim wystarczy jej ona za pałace i przepychy. Dobroduszny poeta biegnie do domu i przemyśliwa, jakimby to sposobem można taką chatkę nabyć. Zjawia się p. *Czcionka.* Henryk sprzedaje mu swój pamiętnik, krwią serca i łzami pisany, a gdy jeszcze ta suma na zakupienie chatki nie wystarcza, zbiera ostatnie pamiątki po rodzicach i je spienięża. Sędzia *Płodozmian* oszukuje poetę i starą, zapadłą pustkę wśród leśnych moczarów sprzedaje za grube pieniądze. Przez rok pracuje Henryk nad naprawą i przyozdobieniem tej chatki w lesie. Po roku, z radosną wieścią, z rysunkiem swojej chatki przybiega do Maryi. Ale po roku Marja nabrała więcej rozumku, a nawet i wyładniała. Marzenia jej wionęły jak mgła, z politowaniem wspomina sobie szalonego Henryka, a z poetów śmieje się doświadczona dziewczyna, bo poeci

Będą o życiu, o sercu rozprawiać bez granic,
Ale serca i życia nie znają nic a nic.

Myli się może panna Marja w swojej sentencyi, bo poeci znają kobiety i wiedzą, kiedy jest wyższą a kiedy powszednią; winą jednak Henryka pozostanie, że takiej Maryi, która to mówi jako kobieta powszednia, tyle mógł zaufać i uwierzyć, że jej «chatka w lesie» na całe życie wystarczy. Biedny poeta rozczarował się niepospolicie, bo Marja z ironicznym uśmiechem jego szaloną miłość odepchnęła. Zjawia się znowu księgarz i proponuje poecie, aby korzystając z swojej boleści, coś czułego i tkliwego napisał.

W drugiej części nudzi się Marja, światem i sobą przesycona. Henryk przebył słabość nerwową i przebolał ranę. Zajął się ludem okolicznym, zaprzyjaźnił z sąsiedztwem, i wszyscy go polubili. Lud pracuje mu za darmo, sąsiedzi posyłają chatce, czego jej potrzeba, a młody pustelnik z dnia na dzień staje się weselszym. Ale Marja nudzi się ciągle, wreszcie chce jechać za granicę. Sędzia *Płodozmian*, chciwy, brudny i stary kawaler podchodzi Marszałka, i smacznym obiadkiem chce go sobie ująć, i o rękę bogatej córki prosić. W tym celu zaprasza go do siebie na obiad. Ale na nieszczęście połamała się kareta, a podróżni zapukali do chatki Henryka i znaleźli gościnne przyjęcie. Był przypadkiem i smaczny obiadek dla Marszałka, co go w tak dobry humor wprawiło, że lubiąc od dawna młodego poetę, przyzwolił chętnie na to aby jego zięciem został. Marja nauczyła się cenić Henryka i chętnie zamknęła serce na podszepty światowe. Sędzia Płodozmian kończy ten dramacik najpocieszniejszą karykaturą. Otoż i koniec tej chatki w lesie, a autor nie powiedział nam wcale, czyli Marja istotnie w tej chatce zamieszkała, czyli w obec jej majątku przybrała ta chatka romantyczne nazwisko *willi*.... Autor winien nam epilog, bo w tej mierze niechcemy się niczego domyślać, aby nas o złośliwość nieposądzono.

Niebędziemy się wdawać w krytyczny rozbiór tego «Dziwactwa dramatycznego» bo autor z góry przeciw wszelkiemu rozbiorowi zaprotestował. „Jestto po prostu, mówi w przedmowie, kilka dialogowanych kartek, na traf wydartych z księgi ludzkiego życia, całość sklejona bez planu, części niedosyć pospajane, ustępy bez przechodów, charaktery bez dostatecznego rozwoju, słowem fantazja. «Co do moralnej strony założenia tego dramaciku, powiada dalej poeta, wyznajemy że chatka nasza jest owocem chwili zwątpienia. Pisaliśmy te kartki, nad któremi się czytelnik zaśmieje, z goryczą i ze łzą w oku. Dusza, co przyznała lub przeczuła całe nicestwo próżności świata, czegoż wymaga? ustronia, wierności, wzajemnego serca i kęsa chleba, okupionego znojem. Czyż powiecie, można mniej i poczciwiej żądać na ziemi? O nie, wierzcie mi, to są żądania tak zuchwałe, tak trudne i prawie niemożliwe do spełnienia, iż przy nich skromnemi wydają się najzuchwalsze marzenia pychy: bo tamte chcą tylko upojenia, tylko pozorów szczęścia ziemskiego, a my w naszej «chatce» pragniemy nie mniej, ni więcej, jak wyjątku od ogólnego prawa cierpienia..... *Spinas et tribulas germinabit tibi terra.*»

Po takiem wyznaniu autora nie możemy nic przeciw «chatce» powiedzieć. W drugiej części starał się autor stargane struny życia ludzkiego na nowo nawiązać, i z nich przyjemniejszy akord wydobyć. I uczynił to, ale czy w tym akordzie jest prawda życia? Trudno uwierzyć. Henryk, poeta-literat, występuje tu, można powiedzieć, jako jeden z owych wyższych, podupadłych talentów, co nie mogąc przełamać się do wznioślejszych sfer życia, osiadają na mieliznie cichej ostoi, zmniejszając zakres działania na maleńko kółeczko. Mimo wszelkiej wzniosłości ofiary ducha, mimo większego hartu zawiedzionego szlachetniejszych uczuć pragnącego serca, pozostanie to zawsze tragedią każdego wyższego umysłu, jeśli schodząc obszernej areny świata, cofnie się w ciche ustronie, w którem mu chatka, kominek i kilka serc przyjacielskich wystarcza. Takie wrażenie uczynił na nas Henryk, a widząc go nawet przy boku Maryi, mimowolnie litujemy się nad nim. Co do charakteru Maryi, to tylko powiemy, że więcej między nami jest Henryków niżeli Maryj, że prędzej takiego Henryka świat zabije, niżeli taką Marją świat znudzić potrafi. Na słowo jednak autora wierzymy, że takie Marje rzeczywiście żyją na świecie.

Z «chatki w lesie» powzięliśmy jeszcze to przekonanie, że Syrokomla w każdym nowym swoim utworze staje się młodszym, to jest, muza jego unosi go co raz wyżej, co raz więcej barw prawdziwej poezyi roztacza pod nami. Czytając *chatkę* trudno uwierzyć, że to pisał autor dziejów literatury i tłumacz łacińskich naszych poetów. Jest tam tyle świeżości, tyle serca i delikatnego, prawdziwie wiośnia-

nego uczucia, że mimowolnie staje nam przed oczyma młodzieńcza twarz poety, olśniona pierwszem natchnieniem. Jest to dla nas rękojmią prawdziwego namaszczenia naszego wieszcza, poezja stała się warunkiem jego życia i głębokie w niem zapuścił korzenie. Oczekujemy godnych takiego wieszcza owoców.

Syrokomla jako poeta poszedł wcale inną drogą, jaką idą dzisiejsi nasi poeci. Tym zdaje się, że mając treść i jakię takie natchnienie, łacno jest o formę, bo ta wyrasta sama z prawdziwego natchnienia. Poeci tacy nie uczą się, nie studjują starszych wzorów, tylko gonią za natchnieniem, za wrażeniami, i je w pierwszej lepszej formie światu objawiają. Doświadczenie jednak naucza nas, że owoce takiej inspiracyi nie zawsze są dojrzałe; cierpkie i niesmaczne, popadają prędkiemu zepsuciu. Dzisiaj potrzeba wieszczom nauki i to nie małej nauki, aby wiedzieć na czem się oprzeć, co jest a co było, aby się nie powtarzać. Syrokomla począł od studjów, poznał formy klasyczne, przyswoił je sobie, a pisząc dzisiaj, z prawdziwego natchnienia, *nie daje się unieść zbytniemu romantyzmowi*, któryby go z granic form okrągłych i wypróbowanych, mógł zawieść na bezdroża dzikiej, nieludzkiej fantazji. To połączenie głębokich studiów formy z ogniem prawdziwego poetyckiego natchnienia, każe nam się spodziewać, że jego muza nie tak łatwo go opuści i poda nam jeszcze sposobność mówienia o niejednym jego poetycznym utworze, w którym podziwiać będziemy w całym blasku tak znakomity, wieszczy talent.

Syrokomla ma wielkie, szlachetne serce; ideałem jego jest skromne, wiejskie zacisze, życie rodzinne i patrjarchalnę śród ludu, którego dodatnie rysy maluje z rozkoszą. Rozmiłowany w takich cichych, sielskich obrazach, zakrywa wzrok swój, aby daleko nie widzieć, bo się lęka rozczarowania. Nie wypływa ztąd jednak, aby nieznał świata. On go zna wskróś, i wie że jest zły: zna swoje serce, i wie że ono czułe i tkliwe. Poeta woli rozkoszować w marzeniach swego serca, niżeli z wyższego stanowiska na historją lub na stosunki społeczne spoglądać, a jeśli kiedy wypadnie mu mimowoli z niemi się zetknąć, uderza na nie całą ironią i goryczą, wyrzuca z siebie żółć i truciznę. I z tej to głównie przyczyny przenosi marzenia, i woli rozkoszować w swojej serdeczności, dobierając sobie z tego, co go najbliżej otacza, idealnych barw i postaci, niżeli wznieść się do wyższego poglądu na społeczność, który by mu odebrał jego chwile serdeczne. Ztąd to polubił poeta formę gawędy.

To też w całej autorskiej postaci Syrokomli uderzają nas nie małe sprzeczności. Słyszymy jego szlachetne, głośno bijące serce, gdy nas do swojej piersi przyciska, widzimy łzę drzącą u jego powieki, a gdy nas rozmarzy, uniesie i rozkocha, spostrzegamy na jego twarzy uśmiech ironji i niewiary we własne swoje dzieło.

Syrokomla pisze teraz poemat: *Stare wrota*, z którego prześliczny ustęp czytaliśmy w dziennikach.

Jan Zachariasiewicz.

Z listu J. I. Kraszewskiego.

do Gazety Warszawskiej.

Gdyby zadaniem naszem było jak dawniej, śledzenie ogólnego ruchu i postępu literatury, co zbyt jest nad siły nasze, mielibyśmy wiele zaprawdę do powiedzenia. Dzisiaj chociaż nas w sprawozdaniach ubieżono dawno, poezja szczególniej zwróciłaby uwagę, bo chwila w której zarazem ukazuje się *Mohort*, poezye *Lenartowicza*, *Zgon Acerna*, nie jest bez uwagi i znaczenia. Na nieszczęście, te prześliczne, tak świeże, tak nowe, tak natchnione a tak proste, tak cudnego wdzięku poezje Lenartowicza, my tu tylko znamy z wyjątków, bo do nas biednych jeszcze nie doszły. Ale na to poczekać możemy, bo ta wiązka świeżego kwiecia nie uwiędnie a przetrwa wiele; nie zestarzeje się, nie przeleci po nad głowami, jak inne utwory tegoczesne, które wiele narobiwszy hałasu, już poszły do skrzyni zapomnienia.

Ja z prób, jakie znam Lenartowicza, widzę więcej w nim, niż ukazanie się pięknych poezjek, widzę wschodzącą zorzę nowej epoki poezyi u nas, nowy rodzaj, nowy kierunek, widzę w nim koryfeusza prostoty i prawdy, widzę pierwszego poetę, co samoistnie zaśpiewał z duszy. Mgliste, apokaliptyczne rapsody, ckliwe szlacheckie gawędy, jak szpitalne elegije rozkochanych i szalonych, wszystko to zużyte, przelało się nam przez uszy; pragnęliśmy świeżego czegoś, prawdziwego, coby tchnęło naszem życiem i zawiało nas wonią zagonu rodzinnego... woń tę dał nam Lenartowicz.

Niezmiernie wielkiej wagi symptomem jest to, że mu wszyscy równo z zapałem poklasnęli, nawet ci, którym kierunek jego mógł być antypatycznym. Wrócim więc do źródła zdrowego, do prostoty, do prawdy, zejdziemy z obłoków, i świątyń które w nich zdziecinniała budowała fantazja, na ziemię, z której jasne nad głowami widać niebiosa... a! dzięki Bogu!

Poezja w ostatnich czasach poszła drogami któremi łatwo jej było zabłądzić, stała się zamiast obrazowej i plastycznej, symboliczną, allegoryczną, mistyczną, pytonissą, do której potrzeba było komentarzów, rymowaną deklamacją, wymuszoną, erudycyjną lub umyślnie ciemną, grała komedję, wodząc nas wśród mgły swojej, a chcąc nam wmówić, że zaprowadziła w chmury... Może też raz powrócimy do domu i ujrzemy niebo swoje i słońce?

Jeśli się tego doczekamy, może to winni będziemy Lenartowiczowi, którego poezje otworzą wrota nowe, i obłąkanych opamiętają, zwrócą do czystego zdroju.

Marzyliśmy dosyć, dosyć nasłuchaliśmy się parafraz apokalipsy i gorączkowych zachwytów, dosyć już mamy mniemanych natchnień; czas sięgnąć do serca i z serca coś zaśpiewać. Tak nuci Lenartowicz, po prostu a rzewnie, a z przejęciem, a prosto, i nikt mu wieńca poetyckiego nie zaprzeczy. Już to samo, że silne natchnienie wykwitło u niego formą własną, dowodzi jak było rzeczywiste, jak głębokie. Może być, jak się to zawsze dzieje, że

forma jego obudzi zapał w naśladowcach, i wywoła ich z łona słabszych talentów, które nigdy nie dźwigną się samoistnie, i potrzebują ręki coby ich podniosła—może być że równie, piękniej, że głośniej i świetniej ktoś po nim zaśpiewa, ale jemu palma pierwszeństwa i odwagi!

A odwagi bo też było potrzeba, żeby obok tego, co się u nas w tej chwili poezją nazywa, obok często wzniosłych, ale nigdy naturalnych, nigdy prostych i jasnych improwizacyj Deotymy, że innych nie wspomnę, wyjść było z lirą wiejską i zaśpiewać tak z duszy pieśnię dla siebie, dla doliny i lasów, dla Boga, bez oglądania się na ludzi i podsłuchiwanie echa. Wielkie często piękności improwizatorki, o której wspomnieliśmy, tak są skażone nadętością, ubieganiem się za efektem, za dowcipem, za nauką, za świetnością, tak deklamatorskie, że nam niekiedy poezją Jezuicką XVII i XVIIIgo wieku przypominają. Nigdy tu nic prosto nie opłynęło z serca, z duszy, natchnione, szczere, każdą rzecz skaziło wyszukanie i zbytek obmyślenia, chłód rozumu, którego do tej sprawy nie tyle potrzeba; nigdzie tu oryginalności najmniejszej, chyba w *Tomirze* i *Tajemnicach Owoców*, gdzie oryginalność stanowi mieszanina znośnego i pięknego, z dziecinnem i dziwnie nieforemnem i nieudolnem.

Wiem jak te słowa moje oburzą i rozgniewają przyjaciół *wieszczki*, ale na Boga, i ja nie jestem nieprzyjacielem jej, a kocham piękno i prawdę nad życie, i nad wszystkie wieszczki żyjące i na świat przyjść mające.

Osobistość nie powoduje mną żadna, ale jak grzeczne i miłe przyjęcie w domu, którego poniedziałki tak będą pamiętne w historyi literackiej Warszawy, nie zamknęło mi ust, tak doświadczone nieukontentowanie, lub nawet brak grzeczności do utajenia tego co myślę i sądzę, spowodować mnieby nie mogło. Mówię co myślę i choćbym był przyjacielem osobistym największym, skłamać nie potrafię dla przypodobania się, lub z obawy obrazy. Literatura nie jest wymianą grzecznostek, a gdyby nawet wyprosić można przyjacielskie uwielbienia od współczesnych, te sądu przyszłości nie zwiążą. Lepiej więc, gdyby zamiast zachwytów i uwielbień prawdę mówiono, choćby *wieszczce*, bo i wieszczkom się to przydać może. Gdyby zrazu ów fenomen improwizacyj nie wywołał w Warszawie uwielbień, obowiązujących na dziś do dalszych, gdyby mówiono prawdę, nie myśląc o stosunkach i przyjaźni, bez osobistości, bez żółci, a szczerze, jestem pewien, że taki talent jak Deotymy, byłby znalazł w sobie struny dotąd milczące, któreby dźwięcznie dla nas głosem jej duszy zabrzmiały.

I Deotyma, prosta, szczera, wreszcie sobąby być potrafiła, gdy dziś jest sztuczną istotą, naczytaną, napojoną, naprowadzoną na drogę, która od dytyrambu, ody i poematu wiedzie na głuche stepy zapomnienia, w państwo nicestwa i śmierci.... Patrzmy w literatury wszystkich ludów i wieków, co z nich żyje i wiekuje? Oto przedewszystkiem natchnione, a szczere i proste; sztuczne, udawane, wymuszone, choćby miało nawet w sobie piękności wielkie, mija i przechodzi. Kto śpiewa dla poklasków chwilowych, niechże nie myśli o jutrze, bo nie ma dlań jutra i przyszłości: sypną się oklaski, i weźmie zapłatę swoją. Piszemy to dla tego, że im niezaprzeczeńszego talentu widzimy dowody w Deotymie, tem bardziej nam żal drogi, jaką ją poprowadzono, charakteru, jaki jej nadano, aureoli, jaką ją przedwcześnie otoczono, by z niej potem widzieć odartą i zapomnianą. A! nie na nieprzyjaciół i krytyków, ale na wielbicieli swoich i panegirystów Deotyma narzekaćby powinna! Jestże kto nieprzyjacielem poety i poezyi?

Myli się, kto sądzi, że w literaturze szczerość i natchnienia odegrać można; aktor może być doskonały, sztuka wyborna, ale uczujemy się na teatrze. Jeśli przez grzeczną słabość zechce kto uwierzyć przeciw sobie, przyszłość, która nie jest ani słabą ani grzeczną, palcem wskaże to, co dla siebie wybierze. W natchnieniu prawdziwem jest coś, co się opisać i określić nie da, ale co sercem czujemy niemylnie; tak w Trenach Kochanowskiego dla Urszuli są łzy rzewne, ojcowskie, w Trenach Klonowicza na śmierć Kochanowskiego, jest tylko sztuka zimna, w Trenach Deotymy na zgon wielkiego wieszcza, jest ćwiczenie na zadany temat.... ale serce nie biło, ale tam łza nie ciekła. Tak samo w Świątyni Sławy, na śmierć Koźmiana, cała ta budowa tak misterna, tak sztuczna, tak wystudjowana, obok kilku istotnie natchnionych wierszy Franciszka Wężyka, bladą się wydaje. Bo dla Deotymy było to znów zadanie, a dla poety i przyjaciela ostatni towarzysz, schodzący do grobu, zwiastujący zamykającą się całą epokę, poruszył ostatnie żywe jeszcze fibry duszy:—śmierć Koźmiana odjęła mu pół życia własnego.

Mimowolnie trąciliśmy ten tak drażliwy przedmiot, czując się sami nie powołani do krytyki wcale, wiedząc jak to rzecz dla nas niestosowna i trudna, onieśmieleni zresztą hałasem, jaki wywołuje każde wystąpienie podobne, ale przywykli zarazem mówić co myślimy i jak czujemy. Chcieć od nas czego innego trudno — do gniewu przywykliśmy i ten nas obchodzić nie będzie.

Mohort, który z wielu względów, mimo wysokiej swej piękności, jako literackie zjawisko, nie ma już tej wagi co poezye Lenartowicza, mniejsze, drobniejsze, ale nieporównanie świeższe i nowsze formą, zachwyca tu jednak wszystkich, i słusznie. Pol przeszedł w nim sam siebie, a co więcej, potrącić umiał strunę, która we wszystkich brzmi sercach współczuciem gorącem; jest to poeta ogółu, choć poeta przeszłości, lub właśnie dla tego, że przeszłości poeta. Teraźniejszość jest w Lenartowiczu, przyszłości nie widzimy w nikim, choć wielu chciałoby za jej proroków uchodzić.

Syrokomla także, skromny nasz słowik litewskich lasów, wyśpiewał tęskniejszą nutą Zgon Acerna, bolesną pieśń śmierci, a tak dziwnie sprzeczną ze śpiewem nadziei, brzmiącym u kolebki dziecięcia.... Ale nie na jedenże temat oba te śpiewy? nie godząż-li się z sobą w chórach wielkich życia??

Rozmaitość.

*** Żebraczka w nowym Jorku.** W Turynie spodziewają się przybycia jednego ze sławniejszych panów angielskich, który przez ostatnich lat dwadzieścia wszystkie kraje i części świata odwiedził, prócz Hiszpanji i Portugalji. Pochodząc z jednej z najznakomitszych rodzin zadziwiał on wszystkich tak excentrycznością swoją, jak i bajeczną prawie rozrzutnością.

Pomiędzy mnóstwem anegdot o nim opowiadanych, opowiadają jedno zdarzenie w nowym Jorku, zupełnie prawdziwe, które jego excentryczność w lepszem okazuje świetle.

Jednego wieczora włóczył się po ulicach nowego Jorku, trapiony najkapitalniejszym spleenem, na jaki się może zdobyć angielskie usposobienie, i nad tem tylko rozmyślał, jakby sobie życie odebrać najprędzej i najoryginalniej. W tej chwili zbliżyła się do niego biedna jakaś kobieta z małem dzieckiem na ręku, i czułym głosem i czułemi słowy prosiła go o jałmużnę dla biednego dziecięcia. Spleenowy Lord nie rzekłszy słowa, nie oglądnąwszy się nawet, rzucił biednej kobiecie kilka gwineów, i poszedł dalej. Lecz kobieta zdziwiona tak ogromnym datkiem zatrzymała go.

— Pan się pomylił zapewne! to przecie same złoto.

Anglik, gdy się zbliżyła do niego myślał z początku, że go chce powstrzymać w jego przedsięwzięciu samobójczem, spojrzał tedy na nią z wielką uwagą, lecz wnet się odwrócił, i zagadł pogardliwym głosem.

— Jesteś z tego kraju!...

— Tak jest panie.

— I zapewne masz męża?...

— Już niemam, jestem wdowa!...

— To dziecko jest twoje!...

— Tak jest odrzekła, a gorzkie łzy polały się po jej pięknej twarzy.

— A jego ojciec?....

— Zginął w wojnie z Texas.

Anglik znowu się zamyślał, widocznie poruszony słodkim i żałośnym mówiącej głosem. Po chwili znowu się odwrócił, i spojrzał na nią. W tej chwili światło lamp nocnych padło na jej twarz. Wydała się lordowi cudnie piękną, i była nią w istocie. Długo patrzał na nią zachwycony tą pięknością, która nędzy nawet się oparła.

— A więc to dziecko niema ojca! ozwał się głosem miękkim; dobrze więc, ja mu będę ojcem. Ty biedna, ładna kobieto! tyś mi wyratowała życie; ja ci go w odwet oddaję, i tobie poświęcam. Dzisiaj w nocy chciałem się zabić... i gdyby nie zdybanie z tobą!... Ale teraz już się nie zabiję, wolę żyć z tobą i dla ciebie. Czy chcesz być żoną moją?...

Łatwiej pojąć niż opisać zadziwienie biednej kobiety.

W dwa miesiące potem na balu u posła rossyjskiego, wszystkie oczy patrzyły na Xiężnę.... która uderzała i pięknością rysów, i przepychem stroju. Ta księżna była owa żebraczka.

Z małego chłopca jest teraz dwudziestoletni młodzieniec, którego jak słychać, ojciec chce ożenić z młodą hiszpanką, wyposażając go kwotą kilkukroćstutysięcy funtów szterlingów.

* *Wiedeń d. 24 kwietnia.* Dnia dzisiejszego odbyła się uroczystość założenia kamienia węgielnego do budowy kościoła na cześć uratowania życia N. Panu.

O godzinie 10tej rano udał się N. Pan wraz z Dostojną Małżonką swoją na miejsce ceremonii przed szkocką bramą, gdzie w przygotowanem na ten cel miejscu zgromadzili się poprzednio członkowie familii cesarskiej, a Arcybiskupi i biskupi obecni w Wiedniu z całej monarchii. Ceremonia zaczęła się od poświęcenia soli i wody, którą poświęcono miejsce kamienia węgielnego.

Potem N. Pan włożył w przygotowaną puszkę monetę i w czasie antyfony: *Nisi Dominus aedificaverit domum*, takową w przeznaczony wsunął otwór, który przywiezionym kamieniem z Jerozolimy przyłożonym został. Po odmówieniu przez pontificat oratorium, wziął N. Pan kielnię, przyłożył wapno na kamień i uderzył 3 razy młotem, co też powtórzyła N. Pani, dostojni członkowie familii cesarskiej, Arcybiskupi i biskupi. Potem odspiewano Veni Creator Spiritus i Te Deum, w czasie którego nastąpiły salwy, z ręcznej broni batalionu Stefan, ustawionego na glacis, tudzież z dział na bastionach.

N. N. Państwo opuścili miejsce ceremonii i tym samym porządkiem powrócili do Burgu.

* *Z Wiednia d. 25 kwietnia* Od kilku tygodni bawi tu deputacja znakomitszej szlachty galicyjskiej pod przewodnictwem księcia Sapiehy Leona, celem uzyskania koncesji na budowę kolei żelaznych w Galicji. Gdyby ten krok był zrobiony przed półrokiem, niebyłoby żadnej konkurencji, a zatem najmniejszych przeszkód, gdyż na tych samych warunkach otrzymało kilku magnatów węgierskich koncessją do budowy kolei w ich kraju. Lecz niestety! u nas zwykle za późno dochodzą dobre chęci dla kraju. Przed zgłoszeniem się deputacji Galicyjskiej do N. Pana, u którego byli na audyencji d. 15 kwietnia, towarzystwo kolei północnej już od dwóch miesięcy prosiło o koncesją budowania i prowadzenia kolei we wszystkich kierunkach Galicyi.

Wiadomo jest że na czele towarzystwa tego stoją pierwsi bankierowie Wiednia, jak Br. Rotschild, Br. Sina Arnstein, Eskeles i. t. p. przytem towarzystwo to zjednało sobie kredyt przez porządne prowadzenie kolei i gotowe kapitały, więc odmówić musiano prośbie deputacyi, a w skutek rozstrzygnienia ministerjalnego towarzystwo kolei północnej otrzymało całą kolej z Oświecima do Dembicy, tudzież przywilej do budowania tejże dalej do Przemyśla, Lwowa i Brodów z warunkiem uskutecznienia tej budowy do roku 1860.*)

Aby zaś szlachta galicyjska nie doznała zupełnej odmowy, udzielono takowej koncessją do budowy kolei ze Lwowa do Czerniowiec i granicy Mołdawskiej.

Co się tycze kolei do Brodów, ta ma być budowaną stosownie do planu kolei rosyjskich do Odessy. Cokolwiekbądź, Galicja zyska nadzwyczajnie tak w transporcie produktów surowych, jakoteż dostawy materjałów fabrycznych i z zagranicy.

W skutek zbliżającego się rozwiązania obecnego stanu N.P. zostało wydane rozporządzenie tutejszego konsystorium, aby w całej monarchii zasyłano modły do Boga o łaskę, opiekę i błogosławieństwo, celem szczęśliwego rozwiązania.

Towarzystwo p. Pfeiffra przyjeżdża w początkach Maja, aby rozpocząć swoje przedstawienia polskie w drugiej połowie miesiąca w teatrze na Wiedniu. Pierwsza reprezentacją będzie opera: Krakowiacy i górale; druga: Napoleon w Hiszpanii; dalej nastąpią: Okrężne, Zemsta, Staroświeczyzna i Postęp. — Główną podporą polskiej sceny jest wyborna spiewaczka, panna Hoffmann, i młody tenorzysta, pełen talentu, Borkowski.

W tej samej porze ma występować towarzystwo węgierskie na Josephstadzie, francuskie na Leopoldstadzie, a Włosi w operze. Jeśli więc przypadną wakacje artystów niemieckich w Burgu, nie będzie pod tę porę żadnego teatru niemieckiego w Wiedniu.

Nowiny lwowskie.

* Dziś w święto wniebowstąpienia pańskiego, w kościele archikatedralnym, wielka msza Sznabla pod dyrekcją p. Piotrowskiego.

* W kościele Bożego Ciała OO. Dominikanów wielka msza Cherubiniego pod dyrekcją p. Brauna, dyrektora orkiestry przy tutejszym teatrze.

* Miss Lidia Thompson, angielka, słynna baletniczka przybędzie do nas na gościnne role i już w sobotę na pierwszy raz wystąpić; z wielkiem powodzeniem kończy teraz swoje występy w teatrze krakowskim.

* Pan Köhler, nowo angażowany bariton, występywał wczoraj po powrocie z Wiednia w operze »Rigoletto« i bardzo łaskawie przyjętym był od publiczności, która się licznie zebrała, i nieszczędziła głośnych oklasków swojego zadowolenia.

* Jego Excel. nasz najprzewielebniejszy Arcybiskup, powraca z Wiednia przed świętami świętego Ducha (Zielone Święta).

---

*) Wiadomość ta jest najmniej przedwczesna. Dotąd bowiem nie rozstrzygnięto tej sprawy, a słowa Najjaśniejszego Pana, wyrzeczone łaskawie do deputacji, wprost przeciwną napełniły cały kraj nadzieją. R.)

Z dzisiejszym Numerem kończy się pierwszy Tom Nowin za rok 1856. Kartkę napisową i spis rzeczy wkrótce otrzymają szanowni prenumeranci. Okolicznościami zniewolony jestem, na jakiś czas zawiesić wydawnictwo tego pisma. Umówiłem się jednakowo z wydawcą Dziennika literackiego, aby tym prenumeratorom, którym jeszcze z końcem kwietnia nie upłynęła przedpłata, przesyłał swój dziennik przez czas zamówiony. *H. W. Kallenbach.*

Przyjechali od dnia 28. do 30. Kwietnia do Lwowa.

PP. Apol. Podlewski z Czabarówki. Włod. Niezabitowski z Koropuża. Wład. hr. Kalinowski z Bakowiec. Ant. Roszkowski z Brykowa. Fel. Sroczyński z Bruśna. Wład. Osmulski z Kuliczkowa. Jan Biliński z Huty. Jul. i Marc. Dobrzańscy z Milatyna. Lud. Wiszniowski z Putiatycz. Jan Mrozowiecki z Sokołówki. Sew. Korytko z Suchodół. Stan. Dobrzański z Daszawy. Edw. Hosch z Stryja. Grzeg. Romaszkan z Kulikowa. Stan. Thullie z Czernihowa. Xaw. Abancourt z Łowczy. Wład. Zawadzki z Jezierny. Hen. Obertyński z Cielęża. Mar. Madejski i Winc. Uleniecki z Przemyśla.

PP. Wikt. Romański z Czernowód. Jan hr. Dzieduszycki z Siechowa. Bolesł. Zaremba z Janowa. Konst. Szumlański z Kochajowa. Zyg. Jezierski. Ig. Andruszowski z Porzyc. Fryd. Poten z Łachodowa. Leop. hr. Starzeński z Mszanicy. Alex. Walewski z W. Kłodna. Jul. Glixelli z Glinian. Jul. Czajkowski z Dussanowa. Józ. Skrzyszowski z Sewerynki. Józ. Drzewiecki z Remenowa. Leon Załęski z Kolbajowic. Alex. Nanowski z Koniuszek. Wikt Obniski z Mycowa.

Wyjechali od dnia 28. do 30. Kwietnia ze Lwowa.

PP. Edward hr. Fredro do Żółkwi. Jakub Antoniewicz do Złoczowa. Adam Chłopicki do Gniły. Marcin Szeptycki do Pohorzyc. Włodzim. hr. Dzieduszycki do Puturzyc. Ignacy hr. Komorowski do Chorobrowa. Józef Skałkowski do Złoczowa. Bolesław Komarnicki do Gajów. Marian Dylewski do Dembicy. Walenty Hickiewicz do Sambora. Sew. Br. Doliniański do Dolinian.

PP. Edw. Romankiewicz do Podlipiec. Stan. Polanowski do Moszkowa. Alex. Pohorecki do Horpina. Wal. Waygart do Przemyśla. Jan Manasterski. Teofil Gumowski do Przemyśla. Tyt. Kielanowski do Kozłowa. Rom. Przygocki do Sokala. Alex. Krasucki do Mostów małych. Franc. Cywiński do Delejowa. Ign. Krzeczunowicz do Jaryczowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 30 kwietnia o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr.	102 1/2	Pożyczka 5% . . .	84 3/4
Hamburg za 100 tal. branco	74 7/8	Akcye banku	1125
Londyn za 1 funt szterl.	10.3	Kolej północna . . .	3075
Medyolan za 300 lirów	102 1/2	Obl. ind.	77 1/8
Paryż za 300 franków	119 3/8	Nowa pożyczka z loteryą	108 1/2
Agio duk. ces. . . .	5 3/4	Pożyczka narodowa .	85 1/4

Dzisiejszy kurs lwowski.	Gotówką		towarem	
	złr.	kr.	złr.	kr.
Dukat holenderski	4	40	4	44
Dukat cesarski	4	43	4	46
Półimperyał zł. rosyjski	8	10	8	15
Rubel papierowy	—	—	—	—
Rubel srebrny rossyjski	1	34	1	35
Talar pruski	1	29	1	31
Polski kurant i pięciozłotówka	1	9	1	10
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	84	50	85	—
Galicyjskie obligacye indemizacyjne bez kuponu	76	—	76	30
5 proc. pożyczka narodowa	83	40	84	15
Śrebro	—	—	—	—

Do dzisiejszego numeru dołączony jest *Dziennik literacki.*

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: H. W. KALLENBACH. Z drukarni Zakł. nar. Ossolińskich, dzierżawca W. MANIECKI

Nowi…

Rok 18…

(Nr. 1 do 52.)

WE LWOWI…

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą

H. W. KALLENBACH.

Dodatek do dziennika „NOWINY“ Nr. 10 z roku 1856.

Uwiadomienie.

Podpisane towarzystwo, usiłując we wszystkich przez siebie zastępywanych gałęziach zabezpieczenia, mianowicie zaś w tak zwanych zabezpieczeniach „na życie człowieka“ które już od lat 20. wykonywa, takie ulepszenia wpro-
...zebom publiczności odpowiedziały, zaprowadziło
...tynowych“ na rzecz akcyonarjuszów, którzy
...podnoszą kapitał przez częściowe lub jednorazo
...się wspólnym, wynikającym zyskiem, bez odtrą
...lokowania kapitałów wypaść mogące, towarzys
...eczeństwo własne przyjmuje.
...ości dzisiejszych, rozwijają się obydwa wyż ws
...n snadniej tłumaczyć się daje, gdyż zakłady p

...wa oddziały tontynowe, które od dnia zaprow
...ści, mianowicie zaś dla zabezpieczenia, małe d
...podpisane towarzystwo dla nadania całości te
... **z dniem 1. Stycznia 1856 r. przez la**
... **kończące się**, a to na podstawie tychże
...dwa oddziały, z pozostawieniem tychże samyc
...klassa społeczeństwa w tym zaprowadzeniu u
... swoich na znaczniejszą liczbę akcyów zapisyw
...liczby akcyów dla uczestników ułatwić, posta
... na 100 i więcej akcyów zapisują, wyż wspo
... zapisywaniu się (jak to według ustawy fra
...szonemi zastosowanemi do liczby corocznie op
... się także na biorących, mniej jak 100 akc
...gwarancyjna za 5 akcyów przypadająca, opła
... na dniu 1. Stycznia każdego roku przypad
...i do premii doliczyć się mającej, w czasie s
...li, co tak w pierwszym zaraz, jako też i w
...akowe zakłady znajdują we Francyi gdzie j
...eroko rozprzestrzeniają, mianowicie zaś owe p
...zasady i ustawy z powyższemi 4ma oddział
...i, zupełnie się zgadzają, przedstawia nam ręko
...niać i z niego korzystać będzie, czego tem w
...urazioni generali“ w Tryjeście zaręcz
...enia, lecz także za wszystkie przez akcyon
...mi ręczy, które według bilansu w miesiącu S
...w. wynoszą.

...entralna Dyrekc...

...w. towarzystwa Assicurazioni generali...
...andolfo. F. Morgante. G. Morpurgo. P. ...

Dnia 1. Stycznia 1856.

Ajent jeneralny we Lwowie

Eugeniusz Richetti.

Bióro pod l. $132^2/_4$ przy ulicy niższej Karola Ludwika.

(D. 14. 3—3)